№ 42

Warszawa, dnia 17 Października 1863 r.



NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. **w Warszawie** *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie,** z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop. 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b.* w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki, prosimy** adresować — *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b. dom dawniéj Krzemińskiego.*

BITWA POD KIRCHOLMEM.

Do największych i najbardziéj wpływowych nieszczęść, jakie przez długie lata trapiły Polskę, należały bez żadnéj wątpliwości wojny szwedzkie, jedno z najzgubniejszych następstw i tak już dość zgubnych i długich rządów Zygmunta III. Król ten, od panowania którego rozpoczyna się rzeczywiście epoka chylącéj się do upadku Rzeczypospolitéj, obok licznych przywar tę wielką miał w każdym razie zaletę, że lubo cudzoziemiec i na obcym zrodzony tronie, całą duszą zespolił się z Polską i tę drugą ojczyznę swoją przekładał nad pierwszą; ale wyznać należy, że to co u nas było zaletą, słusznie Szwedzi za największą poczytywali mu zbrodnię. Samo już wychowanie młodego syna Katarzyny Jagiellonki, którego ojciec, król szwedzki Jan III, od kolebki do polskiéj korony przysposabiał, przede wszystkiem więc kształcił pod kierunkiem jezuitów, samo już to wychowanie nie przypadało do smaku protestanckiemu narodowi szwedzkiemu; a niesmak ten wzmógł się jeszcze bardziéj, gdy po śmierci króla Jana, Zygmunt III, od lat pięciu za przeważnym Jana Zamojskiego wpływem osiadłszy na tronie polskim, za zezwoleniem naszych Stanów przybył do Szwecji, ale otoczony gronem polskich magnatów, i księży.

Stryj Zygmunta, Karól książę Sudermanlandzki, który po zejściu króla Jana objął był w imieniu synowca rządy w Szwecji. chytrze korzystał z takiego usposobienia narodu i lubo koronacji nowego króla (1594 roku) przeszkodzić nie mógł, wniósł przecież na sejmie w Upsali, żeby wyznanie Augsburgsko-Ewangelickie uznane było za kościół wyłącznie w Szwecji panujący. Zygmunt, acz niechętnie, jednomyślnéj uchwale sejmowéj udzielić musiał sankcję królewską, a gdy go tymczasem Stany polskie o powrót do kraju nagliły, opuszczając Szwecję, regencję powierzył znowu największemu swemu wrogowi, Karolowi. Nurtował też ten ostatni, i z powodzeniem, w gruncie już dobrze przez siebie przygotowanym; na sejmie zwołanym w 1595 roku postanowiono nie wykonywać żadnych dekretów królewskich, dopóki ich

regent nie zatwierdzi, postanowiono również, że katolicy, których Zygmunt zostawił na niektórych wyższych urzędach, jeżeli w ciągu siedmiu miesięcy, stosownie do praw krajowych, religji swojéj nie zmienią, na zawsze z Szwecji mają być wydaleni. Król tych postanowień wprawdzie nie przyjął, lecz ustępując niby natarczywym Szwedów życzeniom, w 1598 r. powtórnie udał się do Szwecji. Wszakże przybył nie sam, bo pod opieką armji polskiéj, wprawdzie zbyt szczupłéj, iżby na dobre poprzéć mogła jego sprawę, zawsze jednak nienawistnéj dla Szwedów.

Wkrótce téż pojawiły się skutki tak niepolitycznego kroku Zygmunta III. Między wojskami polskiemi a szwedzkiemi przyszło do krwawych utarczek, z których jedna, pod Linköping (26 Wrzesnia 1598 r.) nieskończenie liczniejszym hufcom szwedzkim łatwe dała zwycięztwo. Zygmunt III po raz trzeci i już ostatni Szwecję opuścił i pomimo uroczystego wezwania sejmu szwedzkiego powrócić już do niéj nie chciał; nie zważał również na ostateczne żądanie tegoż sejmu, iżby syna swojego Władysława (późniejszego Władysława IV) przysłał do Stockholmu i wychowywał tam w wierze protestanckiéj, poczém doszedłszy do pełnoletności, miał wstąpić na tron ojcowski. Karol Sudermanlandzki, który oczywiście najwięcéj forytował tę niechęć narodu, bez trudności po zajściach tak gwałtownych, wymógł na sejmie w Norköping (1604) detronizację Zygmunta, i sam pod imieniem Karola IX, ogłoszony został królem szwedzkim.

Jaki i czyli istotny Polska miała interes w przejmowaniu się roszczeniem osobistém swojego króla do obcéj korony? o tém wiele i za i przeciw dałoby się powiedzieć; a w każdym razie jest to jednym dowodem więcéj na szlachetne, acz mniéj roztropne przodków naszych usposobienie, którzy własne swe sprawy poświęcali częstokroć dla cudzéj korzyści.

Bądź jak bądź, wojna z Szwecją była odtąd nieuniknioną, a antagonizm dwóch szlachetnych narodów, przeciągnąwszy się aż do chwili upadku Karola XII, ostatniemi dopiero czasy zamienił się w opartą na wzajemnym szacunku sympatję.

A wojna była to straszna, która, z przerwami wprawdzie, kosztowała Polskę wiele najszlachetniejszéj krwi, ogromne pieniądze i w spokojnym rozwoju umysłowym cofnęła ją wstecz o mnogie lata. Wojna to była tém zjadliwsza, iż w dalszym przebiegu swoim rozdzieliła kraj na stronnictwa.

Smutne zkąd inąd rządy Zygmunta III, uświetniali, oprócz wielu innych, ludzie tacy, jak wielki kanclerz i hetman Jan Zamojski i Jan Karol Chodkiewicz.

Już nowy król szwedzki, Karol IX, korzystając ze słabych sił polskich na Inflantach, i uprzedzając wkroczenie Polaków do jego kraju, sam wtargnął był do téj naszéj prowincji i mieczem i ogniem pustoszył miasta i plony rolników, kiedy nad słabemi owemi siłami Chodkiewicz ze zlecenia wielkiego hetmana Zamojskiego, naczelne objął dowództwo. Od pierwszéj zaraz chwili śmiałe i świetne rozporządzenia cechowały w nim genjalnego wodza. Walne potyczki pod Dorpatem i Weissenfels, w których znaczne oddziały szwedzkie pobite zostały na głowę, były bezpośrednim skutkiem tych rozporządzeń. Karol IX postanowił powetować swe straty i z całą swą armią, liczącą do 13,000 piechoty, 3,600 jazdy i jedenaście śmigownic, stoczyć stanowczą bitwę z Chodkiewiczem, pod którego rozkazami było zaledwie 2,300 konnicy i 1,000 pieszego żołnierza, licząc w to już posiłki, przysłane co tylko przez Fryderyka, księcia Kurlandzkiego, wiernego rzeczypospolitéj polskiéj hołdownika. Chodkiewicz właśnie rozłożył się był obozem pod Kirholmem, wioską o dwie mile od Rygi, gdy wysłany na zwiady rekonesans, do namiotu wodza przyprowadził nieprzyjacielskiego jeńca. Od niego dowiedział się, że główne siły szwedzkie o parę już tylko mil są oddalone i że Karol, który uderzać nań chciał niespodzianie, w pochodzie swoim wszystkich spokojnych nawet zabierał mieszkańców, by tym sposobem zapobiedz przedwczesnemu o jego przybyciu zawiadomieniu Polaków. Schwytany jeniec należał do oddziału zostawionego na straży w spalonéj wiosce, przez którą armia już przeszła, lecz trybem sobie podobnych maruderów, nad bezowocne siedzenie w jednéem miejscu przenosił w celach rabunku wycieczki na prawo i na lewo.

Nic łatwiejszego nie było dla Chodkiewicza, jak, będąc zawiadomionym dość wcześnie, uniknąć bitwy, któréj wypadek, przy tak przeważnéj sile nieprzyjacielskiéj, nie mógł być prawie wątpliwym. Ale ufał w siebie, ufał w dzielnego żołnierza, którego zapałowi zbyt długim marszem nie chciał się dać ostudzić, ufał nade wszystko w opiekę Boga i wierzył, iż orężowi podjętemu w obronie sprawiedliwości raczy pobłogosławić.

Było to 26 Września roku Pańskiego 1605. Zmrok wieczorny dobrze już zapadł, kiedy Chodkiewicz swoim kazał stanąć na placu wśród obozu Wszyscy dowódzcy byli przy chorągwiach i wódz naczelny sam jeden wyszedł ze swego namiotu.

— „Bracia! mówił, nieprzyjaciel jest blisko i pewno część nocy zaledwie przeminie, gdy już

go będziemy mieli przed naszemi oczyma. Ale niebezpieczeństwo przewidziane przestaje być niebezpieczeństwem. Przyjmiemy go, jako przystoi na żołnierzy, na których patrzy ojczyzna i żąda od nich rachunku ze swéj sławy. Lepszy zgon, niż rachunek, któryby takową ukrzywdził. Bogu polećmy nasze dusze, bo nie wiemy, kto z nas doczeka jutrzejszéj wieczornéj godziny, ale życie nasze poświęćmy dla króla i rzeczypospolitéj! Niech żyje król Zygmunt III!"

Ostatnie te słowa całe wojsko powtórzyło z zapałem. Hetman przywołał potém do siebie dowódców pojedynczych oddziałów, każdemu z nich kolejno wydawał rozporządzenia, i zleciwszy rozstawić straże, które sam następnie pilnie obchodził, pozwolił żołnierzom pokłaść się na parogodzinny spoczynek.

Jeden tylko Chodkiewicz, zwiedziwszy czaty, w namiocie swoim nie spoczywał. Czuł ogromną odpowiedzialność, jaką miał przed Bogiem i krajem za życie tylu powierzonych mu ludzi, ale czuł także, iż w obec strasznych następstw, jakieby klęska jego pociągnęła za sobą dla Polski, życie to żadnego nie winno mieć znaczenia, byleby wszystkie natężyć siły na odniesienie zwycięztwa. Czuwał więc z opartą na dłoni głową, i myślą zapuszczał się w okoliczne pozycje, by ułożyć plan bitwy. Myśli te przerywał od czasu do czasu równie cichą modlitwą, a po każdém pełném pokory wzniesieniu się do Stwórcy wszechświata, serce dziwną miał mocą ukrzepione. Ale zaledwie znużenie skleiło mu na chwilę strudzone powieki, gdy wszedł doń porucznik Wincenty Wojno z doniesieniem, że widać już pierwszy brzask poranny i że czaty, przyłożywszy uszy do ziemi, słyszą zdaleka tentent koni i turkot ciężkich kół działowych.

Zerwał się ze swego siedzenia hetman, a odtrącając usługę szatnego, zam zbroję swoją, któréj na chwilę nie był zrzucił, szybkim ruchem do należnego przyprowadził porządku i wyszedłszy przed namiot siadł na dzielnego gniadosza, z którym, stosownie do jego rozkazu, już nań czekano.

W towarzystwie książęcia Kurlandzkiego, i dwóch bliższych oficerów popędził na wzgórze, które o kroków paręset za wioską opanowywało szeroką okolicę. Tu widział już w oddaleniu rozwijające się chorągwie szwedzkie i liczne zastępy piesze i konne, a przejrzawszy cały szyk nieprzyjaciół, zaczął szczupły swój hufiec rozporządzać, który zaledwo ustawiony, jak za jednym danym znakiem padł na kolana i błagalną pieśnią zwrócił się do Pana Zastępów. Rzewny to zaprawdę, ale i podnoszący ducha był widok, jak te pełne zapału i spokojnéj zarazem siły postacie dzielnych wojowników, korząc się przed Niebem, gotowały się na śmierć. Potém zabrzmiał jeszcze hymn pochwalny na cześć Przenajświętszéj Bogarodzicy, a gdy nieprzyjaciel coraz już bliżéj podchodził i coraz wyraźniéj widzieć się dawały pojedyncze jego pułki i roty, wojsko nasze powstało i na rozkaz Wodza, samo stanęło w szyku bojowym.

(d. n.)

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

W zeszłym liście moim podałem Wam nieco obszerniejszą wiadomość o międzynarodowym kongresie dla postępu nauk spółecznych, odbytym w Gandawie, dziś, pozwólcie, niech dla uzupełnienia obrazu w kilku choć wspomnę słowach o podobném w tych czasach zebraniu w Londynie, gdzie w długich rozprawach zastanawiano się szczególnie nad pytaniem: czy fizyczna i zmysłowa organizacja Murzynów stawia ich zupełnie na równi z ludźmi białymi? i czy we wszystkich narodach kuli ziemskiéj cywilizacja jednakie z czasem znajdzie dla siebie pole? Aniby kto wierzył, jak wymowne głosy dały się w téj kwestji słyszeć.... przecząco. Były nawet pomiędzy niemi takie, a należały do ludzi nie tylko niezaprzeczonéj nauki, ale również najniewątpliwiéj dobréj wiary, które utrzymywały, że niektóre ludy murzyńskie na drabinie stworzeń Boskich nieco wyższy tylko zajmują szczebel od małpy, a udowodniali to zaświadczeniami w najrozmaitszych kierunkach, nawet fizjologicznemi, opartemi na zewnętrznym i wewnętrznym ustroju ciała ludzkiego. Nie wiem dlaczego, boć tam murzynów żadnych z bliska nie znam, ale mnie się zdaje, że każdą duszę szlachetną obrażać musi podobne poniżenie ludzkiéj natury, dzielące człowieka na gatunki i odmiany, zupełnie jak psy się dzielą na wyżły, charty, pudle, mopsy i szpice, a przyznające tam jak tu, jednym poddziałom wyższość intelligencji nad drugiemi. Mniemałbym nawet, że podobna teorja wprost jest sprzeczną z boską nauką Chrystusa, któréj główną podstawą jest równość rodu ludzkiego, jego doskonałość, jak w poznawaniu prawdziwego Boga, tak we wszystkiém, nakoniec stosunek bliźności, w jakim wszyscy pomiędzy sobą zostawać powinni. I niedosyć to już ludzkie ustawy, niedosyć różnice religji, stanu majątkowego, wychowania, ba! nawet samego urodzenia, krzewią wbrew owéj nauce, zasadę nieboskiéj nierówności: trze-

baż jeszcze, żeby różnice plemienne, cery ciała, warg szerszych i włosów kędzierzawych, stanowiły miarę większych czy mniejszych praw do naszego braterstwa? Gdyby nie zacność zgromadzenia, podejrzywałbym doprawdy kilku z tych napastników człowieczeństwa murzyńskiego, czyli się na dnie ich rozumowań nie ukrywała czasem kwestja bawełny, której dostawcy podnieśli oręż jedynie dla przytrzymania w niewoli całéj czarnéj połowy rodu ludzkiego.

Na szczęście ludzie kolorowi we własném swém gronie znaleźli dzielnego obrońcę. Murzyn p. David, członek kongresu, kilkakrotnie i wymownie występował przeciw najzawziętszym przeciwnikom swoich współbraci, a najwymowniejszym jego argumentem był on sam, człowiek najwykwintniejszéj towarzyskiéj ogłady, głębokiego rozumu i rozległych wiadomości; niemniéj przekonywającemi także były jego cytacje z Cezara i innych starożytnych pisarzy rzymskich, którzy w ówczesnych Bryttach, pierwotnych mieszkańcach przodującéj dziś rozwojowi świata Anglji, również upatrywali jakieś istoty, upośledzone przez matkę Przyrodę i do żadnego wyższego polotu umysłowego niezdolne. Konkluzja łatwa, a za jakie kilka lub kilkanaście wieków, Murzyni tak samo zapewne śmiać się będą z dzisiejszych Anglików, jak oni z krótkowidzącéj zarozumiałości dawnych Rzymian.

Kiedy już mowa o Anglji i o wysokiém jéj stanowisku na polu tegoczesnéj oświaty, wspomnę jeszcze o fakcie, który w ostatnich czasach dosyć narobił hałasu po dziennikach, a który nie wiem, czy tylko owemu stanowisku, czy też całéj oświacie niezbyt korzystne w każdym razie daje świadectwo. Chcę tu mówić o niesłychanéj łatwości, z jaką w tym kraju zawierają się związki małżeńskie; akt ten bowiem, w życiu ludzkiém bez mała może najważniejszy, prawie żadnemi nie otoczony tam formalnościami, zszedł powoli do znaczenia najpospolitszéj czynności, jakoż Anglik te słowa: Dziś się żenię! z tą samą wypowie obojętnością, z jakąby np. powiedział: Dziś idę do teatru! albo: Dziś kupuję sobie nowy kapelusz! Dlatego też najzwyczajniejszą sprężyną wszystkich najulubieńszych romansów angielskich bywa zwykle tajemne małżeństwo, ale wyznać należy, że jeżeli intryga tych powieści może się wydać przesadzoną ludziom z Anglją mniéj obeznanym, nie jest ona przecież niczém w porównaniu z rzeczywistością. Nierzadko chłopcy 18 letnie stają przed kratkami sądowemi swojego hrabstwa oskarżeni o *bigamię*, a lubo to jest bardzo smutne, przecież ilekroć chodzi o małżeństwo, dziwném jakiémś usposobieniem Anglików przeważa u nich zawsze strona komiczna. Takim téż był wypadek, wydarzony temi czasy w okolicy Darlingtonu, a o którym szeroko rozpisały się gazety: Młoda, czternastoletnia panienka wychodzi z domu zrana przed godziną śniadanną; wkrótce potém donoszą pani matce, że ślub jéj córki odbył się co tylko w pobliskim kościele i że młoda para ucztę weselną spożywa właśnie w téj chwili przy stole sąsiada oberżysty. Pobiegłszy w miejsce wskazane, zastaje istotnie córkę z szesnastoletnim jéj mężem, zajadających najsmaczniéj *rostbeaf* i *plumpudding*. Ceremonia kościelna rzeczywiście już była spełniona. Dla rozżalonéj matki zrzucić z siebie szal i kapelusz, porwać stojącą na stole karafkę i niemiłosiernie okładać nią plecy młodego małżeństwa, było to dziełem jednéj chwili. Czyli pod wpływem zimnéj wody lejącéj się z naczynia wespół z dzielnemi razami, szanowny zięć opamiętał się? o tém milczy historja: w każdym razie ostatnie to jego było wspomnienie z życia kawalerskiego, poczém świekra, zagnała go żwawo do szkoły.

Biédne to czasy, w których niedorostki się żenią, a poważne starością drzewa, żyjące upłynionych wieków pamiątki, padają ofiarą nienasyconéj ludzkiéj chciwości! Któż ze znających Paryż, nie zna także *Ville d'Avray*, rozkosznéj owéj wioski, mogącéj wkrótce zostać przedmieściem stolicy pełnéj najgustowniejszych willi, a które dlatego zawsze tak niewypowiedzianym mnie nęcą powabem, że istotnie są najszlachetniejszemi wzorami wiejskiéj architektury, równie dalekiemi od ckliwéj utylitarności sześciopiętrowych gmachów paryzkich, jak od nieokrzesanéj gburowatości chałup bretońskich, Tu, gdzie wielki ów serca ludzkiego a szczególnie kobiecego anatom, szlachcic-romansista *Honoré de Balzac*, urządzał sobie za życia raj ziemski, zbytek nawet przybiera pozór prostoty i niecałkiem odwodzi od natury; do tego téż ustronia często lubię dojeżdżać, pewny zwłaszcza uprzejmego zawsze przyjęcia ze strony naszego G. który przed niejakim czasem stale w Ville d'Avray się osiedlił. Ale najwięcéj wabił mnie tutaj dąb olbrzymi, któremu znawcy leśnicy naznaczali niemniéj jak 600 lat życia; stał on na drodze do Sèvres, przed domkiem rękawicznika i na jego gruncie, otoczony kamienną ławką, na któréj przez kilka wieków przechodnie miłego używali wczasu i chłodu. Otóż spekulant rękawicznik obliczył, że tarcice z jednego tego dębu wystarczą na wystawienie małego cyrku, czy też budy menażeryjno-teatralnéj, któréj brak w Ville d'Avray już od dawna uczuwano; i która w perspektywie nieszpetny przedstawia dochód; wyobraźcież sobie moje zdziwienie, a raczéj oburzenie i rozpacz, gdy przy-

bywszy tu zeszłéj Niedzieli, nie znalazłem już owego francuzkiego Baublisa, który pomimo iż na wskroś jeszcze czerstwym żył rdzeniem, padł pod razami świętokradzkiéj siekiery i piły! Jeden z tutejszych matematyków, mający widocznie wiele czasu, najsumienniéj tymczasem wyrachował, że gdyby sadzenie, czy zasianie tego dębu, niechby tylko przed 500 laty, kosztowało aby jednego centyma (pół grosza), dziś koszt ten dorósłby cyfry około 260 miljonów franków, i że gdyby właściciel był go sprzedał w setnym roku istnienia za liche 50 franków, które gdyby umieścił na procent składany, dziś znalazłby się w posiadaniu okrągłéj sumki 7 miljardów!

Rękawicznik mój płacze, że nie żył przed czterystu laty i że wówczas już dębu swojego nie ścinał.

Paryż, d. 12 Października.

*

D Ą B

(z niemieckiego).

Młodziutki dębie nie pochylaj czoła,
Wyniosłą głowę w górnym złóż lazurze,
Choć grom uderza, wicher grzmi do koła,
Tyś dębem na to, abyś zwalczył burze.

Niechaj w przestworzu twe konary błysną,
Wiatr ci rozplecie zielone warkocze,
Na twych ramionach gniazdeczka zawisną,
A chór słowików pieśnią zaszczebiocze.

Dzieci drużynka tu przybiegnie z sioła,
Młodzian żar piersi ochłodzi w twym cieniu,
Szmer twoich liści może zbudzić zdoła,
Nadzieję w starca stygnącém wejrzeniu.

Młodzi rycerze w wolności zaranek,
Przyjdą tu spocząć po krwawej obronie,
Wtedy upleciesz z własnych liści wianek,
Który okoli bohaterskie skronie.

Wkońcu, bo wszystko ma kres na téj ziemi,
Zginiesz pod grotem ostrego topora,
Zginiesz, by odżyć wdziękami nowemi,
Stokroć silniejszym niżli byłeś wczora.

Staniesz się stołem, przy którym rodzina,
Zbiera się codzień w godzinach wytchnienia,
— Albo błysnąwszy iskrami z komina,
Wywołasz w sercach urocze marzenia.

Podtrzymasz starą schyloną zagrodę,
— Podwalinami będziesz wiejskiéj strzechy,
— Kolebką, z któréj pokolenie młode.
Wzrośnie dla kraju chluby i pociechy.

Albo się staniesz konwią pełną wina,
Która czarownéj mocy nam udziela,
Że dawne troski każdy zapomina,
Tylko zostają wspomnienia wesela.

Ty będziesz łożem cierpień i konania,
Lub trumną czarną, posępną, grobową,
W końcu zabłyśniesz na znak zmartwychwstania,
Promiennym krzyżem nad umarłych głową.

Zabłyśniesz krzyżem olbrzymim i świętym,
Ogarniesz chmury ramionami swemi,
Staniesz się spójnią, godłem niepojętém,
Co zbliża Niebo do posępnéj ziemi.

Seweryn Zaleski.

---

*
* *

Z memorjału p. Conte, naczelnego inżyniera dróg i mostów we Francji, w Kronice paryskiéj Bibljoteki Warszaw: za Październik, pomieszczone są bardzo ciekawe szczegóły, o tunelu pod Alpami, które w streszczeniu w dzisiejszéj pogadance podaję.

Pomiędzy robotami, powiada autor, które najwięcéj u potomności zaważą, w pierwszym rzędzie stanie niechybnie, dokonywany obecnie tunel pod Alpami. Przewiercić w granicie kurytarz długi na wiorst blisko trzynaście, w głębokości na półtory blisko wiorsty od szczytu Alp, sterczącemi od stworzenia świata jako naturalna zapora pomiędzy dwoma narodami, nie jestże to olbrzymie świadectwo potęgi człowieka i jego głębokiéj znajomości nauk, przeznaczonych do przeobrażenia powierzchni globu?

Pierwszą myśl do téj kreciéj pracy podał inżyniea Medail, syn tych gór na pół Włoch a Francuz na poły. Skoro pomysł swój objawił światu, umysły praktyczne potępiły go z góry, wytykając mnóstwo niepodobieństw. Zarzutów znaleziono co niemiara, a najważniejszy, że bez środków nadzwyczajnych rozpoczynając tę pracę, pokolenie nie doczekałoby jéj końca.

Nadto nie wiadomo, coby napotkano w takiéj głębokości? zkąd wziąść tam powietrza do oddychania? — czy według teorji wzrostu gorąca, w miarę zagłębienia się w ziemię, nie znalezionoby w tym lochu upału nie do wytrzymania? Jakich nakoniec sposobów użyć, ażeby posuwając się w głąb z dwóch końców, spotkać się w środku góry po dlugoletniéj pracy?

Medail nie znalazłszy sprzymierzeńców we Włoszech, przywiózł projekt swój do Paryża, a choć

mu i tu odpowiedziano z wątpieniem i z szyderstwem, nie odstraszono tém jednak inżyniera ideologa, bo go wspierała wiara, co góry przenosi i przewierca. Powoli zatem z projektem oswojono się, uznano go późniéj za loiczny, a w końcu spostrzeżono, iż urzeczywistnienie jego nie byłoby mrzonka, gdyby w pracy przebijania skały, można było robotę rąk ludzkich zastąpić siłą mechaniczną, szybszą, tańszą, a mianowicie gdyby można było wpuszczać powietrze w dalekie podziemia.

Machina parowa nie mogła być użytą, bo w miarę pogłębiania objętość jéj opalanie i t. p. tworzyłyby trudności nie do przebycia. Potrzeba było, aby siła została na zewnątrz dwóch tunelowych wchodów, i żeby ta siła miała rękę elastyczną, coraz rosnącą i którąby mogła dosięgnąć i działać aż w środku drogi w odległości przeszło szesciu wiorst. Rozpoczęły się więc medytacje i rozmyślania, inżynier belgijski Mauss przedstawił maszynę w kształcie nożyc poruszanych przez sprężyny. Ale projekt nasuwał pytanie, czy sznury i krążki, mogły przesyłać ruch w jednéj sile, nieosłabionéj przebiegiem przeszło sześciowiorstowéj odległości. Wreszcie choćby i przesyłały, największa trudność opowietrzenia tunelu zostawała nierozwiązaną. Kiedy tak inżynierowie rozmyślają co począć z tym klinem, który im Medail zabił w głowę, Colladon z Genewy wpadł na pomysł przesyłania siły z zewnątrz na wewnątrz, za pomocą zgęszczonego powietrza, zamkniętego w rurze. Pomysł był bardzo szczęśliwy albowiem razem z powietrzem potrzebném do oddychania, przychodziła siła z łatwością i bez kosztów. Tym sposobem rozwiązano jednym zamachem, dwie największe trudności.

Zastosowanie powietrza i wody zgęszczonéj, ma ogromną przyszłość, wiążąc za pomocą maszyn, te dwa płyny w sieci rur, można utrzymać potężny czynnik do rozwiązania mnóstwo ważnych zadań ekonomicznych i hygienicznych. Rzecz godna uwagi, że w miarę jak nauka inżynierska się doskonali, człowiek nabywa potęgi organizowania ziemi, wedle praw odpowiednich tym, którym jest poddany mechanizm ciała ludzkiego. Kanały i drogi żelazne, są to olbrzymie żyły, któremi krąży bogactwo społeczeństw; telegrafy elektryczne są nerwami tego ciała przesyłającemi wszędzie myśl jego muzgu; owe mnóstwo rur rozmaitych rozmiarów, któremi ulice stolic podminowane, są organami specjalnemi, przeznaczonemi do roznoszenia ciepła, gazu, wody a nie długo i siły.

W ten sposób urządzone miasta, obsługiwane siłami natury, nie sąż to wielkie ciała organiczne? Jest to zapewne tylko bardzo grube naśladownictwo dzieł przyrody: ale te są tak wzniosłe i mądre, że nawet odległe z niemi podobieństwo, zaszczyt ludzkiemu rozumowi przynosi.

Colladon tedy rzucił pierwszy myśl użycia zgęszczonego powietrza; myśl tę wprowadzili w wykonanie trzej inżynierowie Włosi: Grandis, Grattoni i Sommeiller, angielski zaś inżynier Bartlet, wynalazł drążnią, czyli przyrząd parowy do drążenia dziur na podkładanie min, ktory inżynier Sommeiller wydoskonalił. Tunel zatém pod-alpejski zbiegiem pomysłów teoretycznych i wysiłków inteligenaji, tworzyła zbiorowa siła szczegołowych wytrysków, praca zaś około niego dziś zupełnie uorganizowana odbywa się w następujący sposób.

Przy każdém wnijściu tunelowém, stoi zgęszczacz powietrza działający za pomocą wody z rzek przyległych, i cisnąc powietrze siłą pięciu atmosfer, zamyka je w dziesięciu żelaznych rezerwoarach. Siła ta elastyczna, potężna, czekająca na rozkazy robotników, za pomocą rury metalowéj przenosi się w głąb, u końca któréj znajduje się kilka ruchomych rur z kauczuku, stanowiącycb niby ręce olbrzyma działającego u wnijścia do tunelu. Te długie ręce poruszają drążnie, dostarczając świeżego powietrza, i wypychają zużyte, w miarę zaś zagłębiania się roboty, rurę metalową sztukują, a kauczukowe do jéj nowego końca przyprawiają. Drążni znajduje się osiem, każda z nich zaopatrzona jest w ogromny żelazny rylec, który z gwałtowną szybkością porusza się horyzontalnie i wirowo, przytém cofa się, postępuje i wybija dziury mające średnicy cztery do dziewięciu centimetrów. Do każdéj drążni dochodzi jedna rura kauczukowa, wszystkie zaś razem wybijają dziur w ciągu sześciu godzin 80. Gdy robota ta zostanie dopełnioną, wtenczas wóz z drążniami cofają po kolei żelaznéj, robotnicy czyszczą wydrążone dziury prądem zgęszczonego powietrza, potém nabijają gotowemi ładunkami i zapalają. Grzmot podziemny znać daje, że tunelu parę łokci przybyło. Że zaś nabicie, wybuch i wywiezienie odłamów trwa cztery godziny, dziesięć więc godzin potrzeba na postąpienie 80 do 90 centymetrów naprzód.

Do dziś dnia zrobiono bez mała szóstą część tunelu, jeżeli używane obecnie sposoby pozostaną takie jakie są, potrzeba by jeszcze lat 10 i miesięcy 5 do ukończenia całéj pracy. Mają jednak nadzieję, że powiększeniem liczby robotników i dodaniem dwóch jeszcze drążni, robota zostanie ukończoną za lat osiem.

Jedna z największych trudności operacji jest niezboczenie z kierunku tunelu, żeby dwie linje w środku góry spotkać się mogły. Przedsięwzięto w tym względzie wszelkie ostrożności. Na szczycie

góry Frejus, zkąd widać oba brzegi tunelu, postawiono obserwatorjum opatrzone w theodolit, na gruncie zaś wyryto dokładnie przecięcie planu prostopadłego przechodzącego przez środek tunelu i grzbiet góry. Tym sposobem inżynierowie są pewni, że dwie głowy tunelu są na jednym planie prostopadłym. Żeby z niego nie zboczyć, w dwóch końcach tunelu postawiono dwa obserwatorja i związano je z obserwatorjum środkowém, stojącém na szczycie góry Frejus. Obserwatorja skrajne opatrzone są perspektywami stałemi, służącemi do kreślenia linji tunelu od każdego końca ku środkowi. Dzięki tym ostrożnościom i wytężonéj nieustannie uwadze przewodników, robotnicy posuwają się na pewno. Jeżeli wyniknie jakie zboczenie, będzie nader drobne i da się z łatwością poprawić przy końcu pracy.

Kończąc autor swój zajmujący opis powiada:

Pomyślne dokonanie olbrzymiego przedsięwzięcia zdaje się niechybne. Człowiek opanował już górę i zmusił ją do rozdzierania własnego łona, nie co innego bowiem, tylko wodę spadającą zgleczarów zaprzężono do pracy i kazano jéj nieść siłę i oddychalne powietrze do jamy wydrążonéj, półtory blisko wiorsty pod śniegowemi szczyty. Człowiek tylko uczestniczy w dziele jako inteligencja kierująca dowolnie siłami natury. Nie ulega dziś wątpliwości, że za lat 10 Paryż z Turynem powiązane zostaną nieprzerwaną wstęgą żelazną, która będzie nowym węzłem pomiędzy dwoma narodami, stworzonemi na to, żeby się kochały i pracowały społem na korzyść postępu oświaty i wolności.



Numer ten sprawozdania naszego poświęciemy jeszcze okrywkom, gdyż te stanowią dziś najważniejszą część ubrania. W ogólności na wszelkie okrycia, tak na burnusy, jak na paletoty i płaszczyki, powszechnie używany jest wyrób gładki angielski, z wierzchu podobny do sukna, pod spodem do pluszu z długim włosem. Okrywki takie nadzwyczaj są ciepłe i nie potrzebują podszewki.

Panny Kuhnke przywiozły świeżo z zagranicy, wiele tego rodzaju paletotów i burnusów, odznaczających się zręcznym kształtem i starannym doborem ozdób, niektóre z nich opiszemy tu szczegółowo.

Paletot zwany *Tronville* średniéj długości, lekko wcinany w stanie, objęty był wkoło pletnią wełnianą. Na tém naszyte z obu stron rzędem, guziki lawowe. Po bokach nieco ku tyłowi, zdobiły go kieszenie czworograniaste przybrane pletnią i guzikami, zakończone trzema kwastami u dołu. Na ramionach szły epolety z jedwabną frendzlą.

Drugi paletot bardziéj wcinany, miał z obu stron rzęd szmuklerskich guzików, za niemi zaś naszytą pasmanterję i gipiurę, garnirunek ten rozchodził się u dołu, odznaczając jakby dwa kliny, po obu stronach paletota, wkoło rękawów szły wązkie naramienniki, z pasmanterji, zakończone grelotkami. Mankiety odpowiednio były przybrane; z pod nich wychodziły wązkie czarne jedwabne rękawki, z wypuszczoną na dół klapką z grelotkami.

Trzeci paletot, znacznie szerszy, wolny w stanie zwany Puebla, miał rękawy i kieszenie przybrane pasmanterją z pacioreczkami, zakończone wąziuchną fałdowaną wstążeczką, u szyi przechodziła torsada, z pod któréj spadały na plecy dwa pukle płaskie *poult de soie*, i dwa długie końce, naszyte frendzlą w trzech odstępach. Z przodu po obu stronach paletota, spadały takież pukle z końcami. Końce te sięgały do stanu.

Z pomiędzy burnusów, podobał nam się szczególniéj zwany Patti, obszerny długi, z szerokim szlakiem, wyszywanym czarną sznelą, w ciągniony deseń; po bokach i u szyi, podobne szło naszycie.

Inny burnus zwany *Rosière*, przybrany był z obu stron wzdłuż przodów pięcioma rozetami, w kształcie ślimaków, wyszytych grubym sznurem od każdéj z nich spadały dwa kwasty. Na ramionach i plecach, szły podobne rozety.

Trzeci burnus, objęty był grubą pletnią szmuklerską, zakończoną brzegiem grelotkami, od ramion do dołu wzdłuż burnusa, przechodziła takaż sama pletnia.

W tymże magazynie, widzieliśmy kilka świeżych sukien, odrobionych bardzo starannie. Jedna z nich czarna rypsowa, miała spódniczkę naszytą nad obrębem, paskiem z czarnéj skórki amerykańskiéj, nabitym stalowemi gwiazdeczkami. Miejsce stanika zastępował krótki paletocik, wcięty do figury, obszyty stosownym paskiem. Rękawy ścinane od łokcia, kończyły się wązko u ręki. Spódniczkę obciskał skórzany pas, spięty na klamerkę stalową, od niego spadała na bok mała torebka, czyli omonierka nabijana stalowemi gwoździkami.

Suknia zwana szkocka, z czarnego kaszmiru, szeroka, nie odcinana w stanie, miała u dołu falbankę fałdowaną na pół ćwierci. Nad nią szła ukośna pliska na trzy palce, z popeliny szkockiéj w czarną i białą kratkę. W górze z pod téj pliski wychodziła główka od falbanki. Przez cały przód sukni dana była listewka czarna, a na niéj rzędem guziki pokryte popeliną w kratkę. Po obu stronach téj listewki, szły plisy popelinowe, ogarnirowane z boku falbaneczką czarną kaszmirową. Tenże sam garnirunek, przechodził wkoło szyi. Rękawy ścięte do łokcia, przybrane były odpowiednio u ręki. Wkoło pachy szła pliska w kratę, zakończona w górze czarną falbaneczką. Główną ozdobę téj sukni, stanowił pasek z popeliny szkockiéj, spięty z przodu na kokardę bez końców, do koła sukni spadało z pod niego pięć szerokich szarf popelinowych, przyczepionych lekko do spódnicy. Szarfy te kończyły się czarną frendzelką.

Oprócz tego świeżego fasonu, przywiozły panny Kuhnke wiele innych, których opis, podamy w swoim czasie. Dziś powiemy tylko o bardzo ładnych koszulkach, tak jedwabnych jak kaszmirowych czarnych. Różnią się tém od zwykłych garybaldek, że nie mają fałdów, lecz są gładkie, obciągnięte w stanie paskiem. Przód u nich wyszyty zwykle biało, ściegiem łańcuszkowym, wyszycie nie dochodzi do końca stanu, lecz tworzy jakby chusteczkę. Rękawy ścięte u dołu tak aby ręka przejść mogła, wyszyte bywają odpowiednio.

Uważaliśmy także ładne kamizeleczki czarne trykotowe z białym brzegiem, spięte na rząd guzików. Zalecamy niemniéj piękny dobór koronkowych woalek, webowych kołnierzyków, haftowanych czarno, z takiemiż mankietami, i siateczek sznelowych, rozmaitéj wielkości.

Nowości Zagraniczne.

Le conseiller des dames. Z pomiędzy świeżych sukien, uważaliśmy popielatą jedwabną. U dołu miała falbankę, szeroką blizko na ćwierć łokcia. fałdowaną w odstępach; przytwierdzała tę falbankę plisa aksamitna czarna, wycinana u góry w potrójne liście, (trèfles) objęte koroneczką. Stanik z podwójnym bawetem. miał na szwach wypustkę aksamitną. Rękawy dosyć wązkie długie, z odwiniętym mankietem u ręki, przybrane były plisą aksamitną, wycinaną w liście, mniejsze niż u dołu spódnicy. Kołnierz aksamitny zwany *Gabrjela* dopełniał przybrania. Pod spód szły rękawki gładkie organtynowe, ścięte do łokcia z mankiecikiem haftowanym, i obszytym dwa razy walansienką.

Inna suknia czarna mantynowa, w formie *princesse,* nie odcinana w stanie, miała u dołu przeszło ćwierćłokciowy wolant fałdowany w znacznych odstępach. Nad nim szły kwadraciki ukośne, (*losanges*) naszyte aksamitką czarną. Rogi tychże kwadratów wpadały zawsze pomiędzy fałdy wolanta. Na szwie a zarazem przez środek kwadratów przechodziła czarna aksamitka. Przody spódnicy i stanika, naszyte były takiemiż kwadracikami, które zmniejszały się w stanie, a rozszerzały u dołu spódnicy i ku ramionom. Rękawy dosyć szerokie, objęte były falbanką, zakończoną kwadracikami, garnirunek ten odwracał się w górę, i przechodził przez łokieć.

Do codziennego ubrania zalecamy *Gabrjęlę* z alpagi czarnéj, przybrana na wszystkich szwach aksamitną wypustką. Kołnierzyk ma być cały aksamitny, równie jak mankiety u rękawów. Guziki także aksamitne.

Opis ryciny.

N. 1. Suknia czarna jedwabna, w drobne paski, u dołu spódnicy falbanka fałdowana, naszyta w festony, w miejscu gdzie się te festony schodzą, kokarda z wstążki czarnéj. Stanik pod szyję zapięty na guziki. Gorsecik z téj saméj materji z szarfami długiemi z tyłu związanemi. Rękawy obcisłe do ręki, z wyłożonym mankietem. Kapelusik popielaty kastorowy z pod spodu wygarnirowany ruszą czarną. Nad rondkiem kokarda aksamitna i pęczek popielatych piór strusich.

N. 2. Suknia popielata z francuzkiéj popeliny, u dołu wszywka gipiurowa naszyta w zęby greckie, ogarnirowana z obu stron falbanką popielatą. Stanik pod szyję; rękawy ścięte do łokcia, przybrane na mankiecie wszywką i falbanką. Rotonda takaż sama, ogarnirowana odpowiednio. Kapelusz czarny jedwabny, przybrany piórami i koronką czarną, podpięcie z białéj blondynki. Rękawki białe muszlinowe.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956 dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru, dołącza się rycina Paryzka.

w Drukarni K.Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

Dodatek do Nru 42 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 17 Października 1863 roku.

JAN HALIFAX

POWIEŚĆ M^ss MULLOCH

SPOLSZCZONA Z ANGIELSKIEGO.

przez S. P.

(Dalszy ciąg.)

Popatrzał chwilę na moje pismo, wysuszył je przed ogniem, obwinął książkę w podwójny pokrowiec, schował ją do kieszeni, podziękowawszy mi serdecznie.

Oto wszystko, com się dowiedział o rodzinie Janka Halifax.

Joanna przechodziła się co chwila po pokoju, patrząc na nas podejrzliwem okiem. Dziwiło ją to, że widziała uśmiech na mojéj twarzy, gdyż swoboda, rzadkim była gościem w naszym domu; a ja schorowany od dziecka nie byłem nigdy wesół. Ale ten chłopiec jakkolwiek biedny, tyle miał w charakterze energji, tyle samodzielności, i dobrego humoru, że to wszystko oddziaływało na mnie w dziwny sposób. Patrząc na oczy jego pełne życia, na usta ożywione uśmiechem, czułem się w sercu rozradowany i pocieszony. Mniemałem, że wracam do światła z ciemności.

Ale Joanna nie pojmowała tego.

— Panie Fineas rzekła do mnie z drugiego końca stołu; pogoda, słońce świeci, powinieneś iść na przechadzkę.

— Już wychodziłem dziś Joanno.

I znów rozmawiałem z Jankiem.

— Panie Fineas, głośny śmiech może ci zaszkodzić: czas już, żeby ten chłopiec odszedł.

— Dajże nam pokój Joanno.

— Dobrze mówi, rzekł Janek powstając.

I z twarzy chłopca ustąpiła wesołość—a na czole jego odbiła owa przedwczesna powaga, którą zdobył twardem doświadczeniem.

— Miałem, rzekł, dzień szczęśliwy, dziękuję ci serdecznie, a teraz odchodzę.

Nie chciałem go puścić przynajmniéj do powrotu ojca mego. Ułożyłem w głowie plan, który pragnąłem urzeczywistnić.

— Po co się tak spieszysz, zapytałem Janka, wszakże nie masz roboty.

— Nie mam, to prawda, ale chciałbym ją mieć i spodziewam się, że ją znajdę.

— Jakim sposobem?

— Przyjmując wszystko, co mi wpadnie pod rękę, to najlepszy sposób. Nigdy nie żebrałem, nigdy nie brakło mi chleba, choć nie raz głód czuć się dawał dotkliwie. Co do sukni to prawda— dodał smutno patrząc na krótką i wytartą odzież, *onaby* cierpiała na tém; zawsze mnie ubierała tak często!

Po sposobie, w jaki wyrzekł *Ona*, zgadłem że chciał mówić o matce. Biedny sierota szczęśliwszy był jednak odemnie — ja nie pamiętałem nawet mojéj matki!

— No miejmy odwagę — rzekłem, kto wie co może nastąpić.

— O! ja się nie lękam niczego, odparł podnosząc głowę zdobną w pierścienie długich włosów.

Zbliżył się do okna, popatrzał w błękitne niebo, z tym uśmiechem, spokojnym, szczerym i poczciwym, który śmiało idzie z losem w zawody.

— Chodźmy do ogrodu rzekłem, spostrzegając w progu Joannę: usłyszysz jak dzwony z wieży opactwa uderzą godzinę niezadługo.

Wstałem; szukałem oczyma moich kul. Janek podał mi je, patrząc na mnie z współczuciem i powagą.

— Ty tego nie potrzebujesz, rzekłem przymuszając się do uśmiechu, czułem się bowiem upokorzony mem kalectwem.

— Mam nadzieję — odrzekł, że też nie zawsze potrzebować ich będziesz.

— Może i nie. Doktór Jessop zapewnia o tém. Zresztą mało mnie to obchodzi. Wiem, że nie będę żył długo.

Myśl ta była w młodości największą moją pociechą.

Janek spojrzał na mnie wzruszony, lecz nie rzekł ani słowa. Poszedłem naprzód długim korytarzem, prowadzącym do furtki ogrodowéj, i spocząłem chwilę znużony. Janek, który szedł za mną, położył mi rękę na ramieniu.

— Mógłbym cię zanieść, jeśli na to pozwolisz. Jestem silny; niedawno oto, poradziłem wór z mąką.

Na te słowa rozśmiałem się na głos: Janek porwał mnie na ręce, i zaniósł aż na koniec ogrodu. Byliśmy obaj weseli; ja lubo starszy, czułem się przy nim, jakby dzieckiem.

Zanieś mnie pod tę altankę wysadzoną klematydami—rzekłem; widok z niéj prześliczny. Jakże ci się podoba nasz ogród?

Nie okazał wielkiego zdziwienia, ale obejrzał się bacznie w koło siebie, a wyraz zadowolenia odbijał w jego twarzy.

Ogród nasz był w rzeczy saméj bardzo ładny, złożony że świeżych trawników i kląbów malowniczo rozrzuconych. Parkan oddzielał go od ogrodu warzywnego, którym ojciec najbardziéj się chlubił. Dawniéj, kiedy byłem za słaby, żeby chodzić, czołgałem się z rozkoszą po tych miękich trawnikach, ubarwionych stokrocią; znałem każdy kwiatek, każde drzewko. Szeroka droga wysadzana drzewami, daléj rzeka, gruby mur, i żywopłot z cisów, oddzielały tę ustroń od reszty świata.

— Czy dawno tu mieszkasz? zapytał Janek.

— Od urodzenia.

— Piękne miejsce rzekł smutno! ta łąka gładka i równa jak aksamit, musi mieć przynajmniéj pół morgi obszaru. Zmierzyłbym ją, alem trochę zmęczony.

— Pocóż mnie dzwigałeś na ręku.

— To nic! nogi mnie tylko bolą, bom z rana przebył kawał drogi.

— Skądże przychodzisz?

— Od tych gór, co się tam ciągną, sam nie wiem, jak je nazwać. Widziałem ja większe, ale i te wysoko sięgają skalistemi wierzchami, a strasznie na nich zimno, szczególniéj pasząc owce. Zdaleka za to ładnie wyglądają. Śliczny macie tu widok.

— Prawda, że śliczny, odrzekłem; zawsze byłem tego zdania, ale dziś żywiéj to czuję.

Niech mi tu wolno będzie opisać ten piękny krajobraz, w obec którego, przewlekła się smutna moja młodość.

Po za niskim parkanem rzeka Awon płynęła w pośród zielonych brzegów. Wody jéj za zwyczaj spokojne, niekiedy jednak zmieniały się w bystry i milczący potok. Wtéj chwili płynęła poważnie, obracając koło sąsiedniego młyna.

Za rzeką, ciągnęła się nieścigniona okiem łąka Ham, na któréj pasły się liczne stadniny i trzody. Daléj jeszcze inna rzeka, zakreślała wielkie półkole, trudno ją było dojrzeć, z powodu niższego położenia. Kiedy niekiedy tylko migały przed oczyma białe żagle, i niebawem znikały w śród zarośli. Te żagle zwróciły uwagę Janka.

— Czy to statki płyną tam daleko, zapytał; musi tam być jakaś rzeka.

— Tak jest, to Sawerna, odrzekłem: wody jéj nie zbyt tu jeszcze wielkie, ale poniżéj nagle się rozszerzają, i tworzą ogromny kanał Brystolski.

Widziałem go, zawołał Janek radośnie. Lubię bardzo Sawernę.

I patrzał długo w milczeniu. W ówczas to poraz pierwszy spostrzegłem cudnie piękny wyraz jego oczu.

Nagle dzwony starego opactwa, poczęły wybijać godzinę. Janek zadrżał.

— Co to jest zapytał pomięszany.

— Wskazałem mu wieżę wznoszacą się w bliz-kości.

— Nasz ogród należał także kiedyś do owego opactwa, rzekłem, te odwieczne drzewa sadzone ręką księży.

— To oni pewnie posadzili ten żywopłot z cisów. I powstał, chcąc go obejrzéć zbliska.

Żywopłot nasz sławny był na całą okolicę, nie było mu równego. Miał on piętnaście stóp wysokości, a tak był gruby, że tworzył nieprzedartą ścianę. Janek przyglądał się długo poplątanym konarom, powrócił nakoniec do altany.

— Co tam robiłeś tak długo, zapytałem, czyś chciał przejść na drugą stronę, żywopłotu.

— Probowałem czy można.

— A cóżbyśty zrobił mój Janku, gdybyś ztąd musiał uciekać. Trudnoby ci przyszło przedrzéć się przez gęstwinę!

— Nie probowałbym nawet.

— I jakżebys sobie poradził?

— Powiem ci jak, odrzekł ze spokojnym uśmiechem, który okazywał niezachwianą moc woli. Zacząłbym łamać gałęzie po jednéj, dopókibym nie zrobił otworu.

— Dobrze chłopcze, odezwał się szorstki głos, wolałbym jednak, żebyś nie czynił próby na moim żywopłocie.

Był to głos ojca mego, który stanął za nami niespostrzeżony.

Zmięszaliśmy się oba, lubo ojciec nie miał gniewnéj postawy.

— Czy w taki sposób, zwykłeś pokonywać trudności przyjacielu, zapytał.

Odpowiedziałem za niego, gdyż Janek widocznie posmutniał na widok surowego starca.

Ojciec siadł przy mnie, odłamał gałązkę klematydy, która go muskała po łysinie, i wrzucił ją do rzeki. Potém oparłszy obie ręce na grubéj trzcinie, zmierzył Janka od stóp do głowy.

— Mówiłeś mi, że szukasz roboty? Nie wstydź się twéj sukni zszarzanéj, rzekł — widząc że chłopiec zarumienił się pod badawczym jego wzrokiem, więksi ludzie od ciebie chodzili w łachmanach. Czy masz pieniądze?

— Mam cztery pensy, któreś mi pan dał, a raczéj którem zarobił, gdyż nie biorę nic darmo, rzekł chłopięc wytrząsając próże kieszenie.

— Bądź spokojny, nie chcę ci dać nic prócz...... roboty.

— Panie zawołał Janek.

— Ojcze zawołałem, i nie wiem czyj głos wyrażał większą wdzięczność.

Ojciec zdziwiony był, lecz twarz jego objawiała zadowolenie. Włożył na głowę kapelusz z wielkim brzegiem, nasunął go na oczy, i myślał chwilę, kreśląc trzciną koła po ziemi. Wieść mówiła, że stary kwakier, przybył niegdyś do Norton Bury, nie mając w kieszeni szylinga.

— Jakąż robotę umiesz chłopcze?

— Jakąkolwiekbądź, odparł żywo Janek.

— Niewiele się z tego dowiedziałem. Cóżeś robił przez rok ostatni? Mów prawdę.

Oczy Janka zapłonęły, spojrzałem nań; uspokoił się w téjże chwili.

— Całą wiosnę, mówił, pracowałem u gospodarza; oborywałem pługiem rzepę; potém pasłem owce na górach; w Czerwcu kosiłem siano, ale zachorowałem na tyfus. O! nie lękaj się pan, jużem zdrów od sześciu tygodni, inaczéj nie śmiałbym się zbliżyć do syna pańskiego.

— Dobrze mój chłopcze, rad z ciebie jestem.

— Dziękuję panu, przyjmę chętnie każdą robotę, jaką mi pan przeznaczy.

— Zobaczymy.

— Spojrzałem na ojca z wdzięcznością i nadzieją, ale dalsze jego słowa umiarkowały moją radość.

— Mój kochany, rzekł do mnie, jeden z młodych robotników w garbarni, zaciągnął się dziś do wojska. Czy myślisz, że ten chłopiec potrafi go zastąpić.

Kogo zapytałem.

— Jakóba Wattkins.

Spadłem nagle z obłoków. Widywałem nieraz wspomnionepo Jakóba, jak zwoził do garbarn skóry zakupywane przez ojca w okolicy.

Stał mi dobrze w pamięci biedny Jakób, i jego wózek, napełniony krwawemi szczątkami bydląt; pamiętałem go w poplamionym kaftanie z brudnemi rękoma, z fajką w ustach, siedzącego na przodku za końmi, przykromi było wyobrazić sobie Janka w takiéj postawie.

— Ależ mój ojcze przerwałem.

— Zrozumiał mój wzrok. Widział on że garbarstwo budzi we mnie wstręt nieprzezwyciężony.

— Czyż mu nie można wynaleść innego zajęcia, zapytałem nieśmiało.

Nie! rzekł surowo ojciec. Kto nie chce podjąć trudnéj pracy, ten i jeść nie powinien.

— Ja chcę pracować, zawołał żywo Janek, przyjmę każdą pracę byle uczciwą.

Ojciec odsunął się odemnie, a zwrócił do Janka.

— Czy umiesz powozić spytał łagodniejszym głosem.

— Umiem, odrzekł Janek; oczy jego błysnęły radością.

— Będziesz zwoził skóry do garbarni.

— Czy nie znasz garbarskiego rzemiosła.

— Nie, ale go się wyuczę.

— Dobrze; zaczniesz więc od zwożenia skór.

— Dziękuję panu, będę się starał spełnić, jaknajlepiéj moją powinność.

— A pamiętaj nie zatrzymywać się po karczmach, żeby się nie dać skusić jak ten Jakób. Matka jego nie daje mi teraz pokoju ze swemi lamentami. I ty masz pewnie matkę, co cię pieści i psuje. Wszystkie kobiety nierozumne, a szczególniéj też matki!....

— Panie!.... zawołał Janek, lecz głosu zabrakło mu w piersi, twarz chłopca spłonęła rumieńcem: z trudnością powstrzympł łzy, cisnące się gwałtem do oczu. Ta władza nad sobą, wymowniejsza od łez, wzruszyła ojca mego.

Milczał chwilę, wykopał trzciną dołek w ziemi, zagrzebał w niéj kamyczek.

A więc biorę cię w służbę, rzekł łagodnie, lubo nie zwykłem przyjmować nikogo bez świadectwa i dobréj rekomendacyi. Sądzę, że nie masz papierów.

— Nie mam ich, odrzekł Janek; ale szczery wzrok jego, i poczciwy wyraz twarzy, wydawał mi się najlepszem świadectwem.

— Stanęła więc ugoda, rzekł ojciec.

Powstał, dobył szelinga z kieszeni, i wsunął go Jankowi w rękę.

— A zacóż te pieniądze, spytał chłopiec.

— To dowód, że cię zgodziłem na sługę.

— Sługę, powtórzył Janek z dumą. O tak rozumiem. Będę się starał dobrze służyć.

Ojciec nie zważał dumnego uśmiechu Janka, obliczał bowiem, jakie ma przeznaczyć mu zasługi. Po chwili milczenia wymienił małą kwotkę, gdyż trudno było o pieniądz w tych wojennych czasach; a potém ojciec utrzymywał, że pieniądze w ręku młodogo są narzędziem zepsucia.

— Mówiłeś mi, że nie masz nic, rzekł ojciec, oto zapłata tygodniowa, mój syn poświadczy, że ci płacę. W następnych tygodniach potrącę ci po szylingu, póki się nie skwitujemy.

— Dobrze panie, dziękuję, rzekł Janek zdejmując kapelusz.

Ojciec, skinął głową, i odszedł zostawiwszy nas samych.

Ścisnąłem rękę Janka. Stał przy mnie zamyślony.

— Jakżem ja szczęśliwy, zawołałem.

— I ja także, odrzekł po cichu.

Potém przechodząc nagle z zadumania do młodzieńczéj wesołości, podrzucił w górę kapelusz wołając *Brawo!*

I ja powtórzyłem *brawo!* słabym i drżącym głosem.

III.

W młodości mojéj, i długo jeszcze potém, pisałem dziennik, często przerywany chorobą. Z tego to źródła czerpię szczegóły, które inaczéj ulеciałyby mi z pamięci:

Przez kilka dni nie widziałem Janka, nie myślałem nawet wcale o nim. Zamknięty w ciemnym pokoju, leżałem złożony gorączką.

Gdym zaczął przychodzić do siebie, postać jego stanęła nagle w myśli mojéj. Zdało mi się, że widzę rozpromienioną twarz młodziana, występującego śmiało z życiem w zapasy; zdało mi się, że słyszę głos jego, pełen serdecznego współczucia.

Ciekawy byłem, czy Janek dowiadywał się o zdrowie moje. Joanna mówiła, że może być, lecz tego nie pamięta.

— Jeżeli przyjdzie, pytałem, czy mogę się z nim widzieć?

— Obejdzie się bez tego.

Za nadto byłem słaby, aby walczyć z Joanną.

Przestałem też mówić o Janku; myślałem tylko o nim. Czułem, że widok jego pokrzepiłby me siły.

Przyszedłszy wreszcie do zdrowia, przestałem zależeć wyłącznie od Joanny.

Było to w dzień targowy: Joanna pojechała do miasteczka. Szedłem ostrożnie na dół. Piękny poranek jesienny, przypominał wiosnę. Makolągwa wyleciała z pośród liści, i poczęła śpiewać wesoło. Otworzyłem okno, aby ją lepiéj słuszeć.

Spiew umilkł: spojrzałem na drogę; postrojone wieśniaczki wracały z targu to pieszo to na wozach; daléj spostrzegłem mały niepozorny wózek, zaprzężony w jednego konia, pełen skór baranich. Przy nim szedł młodzian z wesołą twarzą i uśmiechem na ustach.

— Janku, mój Janku wołałem, lecz on mnie nie słyszał.

Postać Janka wniczem się nie zmieniła. Suknia jego w gorszym była jeszcze stanie; gdyż jesienny deszcz padał często, jak mówiła Joanna. Biedny Janek! on jednak wdzięczném okiem poglądał w niebo rozjaśnione promieniem słońca!

Wychyliłem głowę przez okno, prowadząc za nim oczyma, w miarę jak się zbliżał ku domowi. Z radością patrzyłem na niego. Obrócił się nakoniec.

Uśmiechnął się, zdjął kapelusz, i powitał mnie z uszanowaniem.

Przykro mi to było: zrozumiałem jednak szlachetną dumę Janka, który pojmował stanowisko swoje, i pragnął utrzymać się na niem z godoością. Do mnie należało uczynić krok piérwszy.

— Janku zawołałem, gdy przejeżdżał koło bramy.

— Szczęśliwy jestem, że widzę pana zdrowszego.

— Zaczekaj na mnie chwilkę.

I powlekłem się na kulach do sieni zapominając o wszystkiem nawet o gniewie Joanny.

— Janku gdzie jesteś, wołałem zdaleka.

— Tu panie, rzekł, stojąc przed gankiem, i trzymając w ręku lejce. Czy pan mnie potrzebuje.

— Chodź tu, zawołałem, zostaw wózek, mniejsza o niego.

Janek przecież innego był zdania. Zaprowadził konia pod drzewo, oddał lejce małemu chłopcu, i przybiegł do mnie jednym skokiem.

— Nie spodziewałem się, rzekł widzićć tu panu, mówiono mi wczoraj że pan leży.

A więc dowiadywałeś się o mnie!

— Niech się pan, aby nie zaziębi.

(d. c. n.)



TYGODNIK MÓD

w Warszawie